

Tomasz Burek: Szkoda tego pomysłu

„Nierzeczywistość” w jej kształcie pierwotnym zdawała się być propozycją pod względem formalno-edytorskim niezwykle i raczej niespotykaną w literaturze. W pierwszym odruchu można było pomyśleć nie tyle o dwóch częściach jednej powieści, ile o dwóch różnych powieściach sztucznie połączonych w jedną książkę – przypominamy fragment książki Tomasza Burka w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Kazimierz Brandys. Dowartościowanie indywidualizmu”.

Nierzeczywistość w jej kształcie pierwotnym – to znaczy w postaci obszernego maszynopisu, z jakim dane mi było zaznajomić się wczesną jesienią 1975 roku – zdawała się być propozycją pod względem formalno-edytorskim niezwykle i raczej niespotykaną w literaturze. W intencji autora bowiem wspólna okładka projektowanej książki oraz jeden i ten sam tytuł widniejący na niej – miały połączyć dwa niepodobne do siebie wręcz rozbiegające się teksty. Niepodobne z punktu widzenia ogólnych założeń estetycznych, przynależności gatunkowej, rodzaju prozy, zastosowanej techniki literackiej i formy przekazu. Niepodobne w jakościowym nacechowaniu i wyróżnikach stylu, w tempie i metodzie narracji, a także w samej konstrukcji narratora. Rozbiegające się zaś nadto w adresie czytelniczym, ponieważ skierowane jak gdyby do dwóch biegunowo odmiennych typów odbiorcy. Toteż kończąc lekturę maszynopisu *Nierzeczywistości* można było w pierwszym odruchu myśleć nie tyle o dwóch częściach jednej powieści, ile o dwóch różnych powieściach sztucznie połączonych w jedną książkę.

A jednak nie było to zespolenie z przypadku, nie było to sąsiedztwo zrządzone przez kaprys czy arbitralną decyzję autora. Przy wszystkich strukturalnych różnicach, sięgających w artystyczną organizację tych dwu niepodobnych do siebie tekstów, które wszakże nosiły identyczny tytuł: *Nierzeczywistość*, przy całym ich rozbieżnym nastawieniu intelektualnym, językowym etc., coś je przecież ze sobą wzajemnie wiązało, w niepodobieństwie nawet upadabniało, i wcale nieprzypadkowo kazało następować po sobie. Za owym złączeniem i wspólnym tytułem przemawiała konieczność wyższego rzędu, racja merytoryczna.

Otóż usiłując zestawić pewną całość – nazwijmy ją tradycyjnie dziełem lub utworem literackim – z niezupełnie przylegających do siebie czy też zgoła niepasujących formalnie i niezestrojonych fabularnie części i fragmentów, układając konkordancję pełną luzu, konstruuując związek następstwa i ciągłości pomiędzy dwoma tekstami odrębnymi i niezgodnymi w – jakkolwiek pokrewnymi w przedmiocie – autor osiągnął zaplanowany efekt niejednorodności, niezborności wewnętrznej swego dzieła przewrotnie obmyślony i artystycznie celowy efekt „sprzecznej podwójności”, zgrzytu, drastycznego pęknięcia i asymetrii.

W ten sposób samą formą swojej książki, samym jej kształtem ujawniał, prześladowane go stale i od dawna, problemy polimorfizmu i nieciągłości, obnażał w jej kompozycji – istotny brak reguł i dekompozycję, w jej jedności – przepołowienie, wskazywał na całość, która złożyć się nie może. A ta całość z nieodłączną od niej skazą i defektem, całość, by się tak wyrazić, chronicznie niecałkowita, rozłamana, jak gdyby na zawsze niewykończona i do końca nie scalona,

to przecież – całe dzieło pisarskie Kazimierza Brandysa; to może – poszarpana *vie romancée*, powieść jego własnego życia; ale zarazem – filozoficzna wizja rzeczywistości jak najniewątpliwiej obecna w dorobku Brandysowskim, w tym niejednorodnym, zastanawiająco pomieszonym wieloksięgu; to – nade wszystko chyba – paradygmat podzielonej, bo sprzecznymi doświadczeniami żyjącej, świadomości i osobowości narodowej; to model polskiej formy istnienia i myślenia. Ta całość okaleczona to metafora Polski.

*

Sens chwytu zastosowanego w maszynopisowej wersji *Nierzeczywistości* posiadał więc liczne wykładniki i nie musiał tłumaczyć się prosto. Przypatrzmy się bliżej temu oryginalnemu chwytowi i jego funkcjom. Najpierw uderzał nas fakt niespodzianki gatunkowej, estetyczny fakt niejednorodności i nieuzgodnienia dwu tekstów składających się na jedną i tę samą książkę, wzbudzała pytania i dziwiła jej nie skrywana podwójność, wielokształtność i synkretyzm jej poetyki „dwuskrzydłowej”. Kiedy bowiem skrzydło pierwsze naginało się całym swym wielomównym ciężarem ku rodzajowi prozy imaginatywnej, bajecznej, typu „romans”, „opowieść”, „fikcja fabularna”, „beletrystyka”, „narracja epicka”, to drugie, wprost przeciwnie, czerpało swe podniety i wzorce z tradycji nowoczesnej prozy intelektualnej, nieopowiadającej, z nurtu *nonfiction*, z owego charakterystycznego dla dzisiejszej antyliteratury zmieszania eseju, autobiografii, paranaukowej analizy lub politycznej polemiki.

Tam zaznaczała się przewaga anegdoty i skomplikowanej, zawilej intrygi moralno-psychologicznej, relacjonowanej z perspektywy subiektywnego wspomnienia i przepuszczonej przez odkształcający filtr wyobraźni. Tu dominowała asceza środków wyrazu i dyscypliny samowiedzy. Tam – w pierwszym członie książki – mieliśmy do czynienia z rzeczywistością przeżyta sentymentalnie, powracającą do bohatera-narratora po latach w masie szczegółów istotnych i nieistotnych, w bezładzie pamięci, w niekończących się dygresjach, w poplątanych wątkach i rozwidlonych tropach narracji, w retrospektywnym, iście sterne'owskim „trzy po trzy”. Tutaj natomiast – w części drugiej – rzeczywistość jawiła się narratorowi numer 2 jako przynajmniej w intelektualnym zakresie opanowana i zrozumiana, odcedzona już z bujnej, nieporządnej rodzajowości anegdotyczno-fabularnej, zagęszczona do sentencji i zwięzłej formuły, dająca się zamknąć w chłodnej i dobitnej puencie.

Samą formą swojej książki,
samym jej kształtem ujawniał,
prześladujące go stale i od
dawna, problemy
polimorfizmu i nieciągłości.

Jeżeli pierwsza część
wystylizowana
została na
monstrualnie długi,
rozwlekły i,
raptownie, po stu
kilkudziesięciu
kartkach

maszynopisu, w pół zdania porzucony, zaniechany – „list do redakcji” (przy czym szło o redakcję pewnego krajowego kwartalnika historycznego, zajmującego się ogłaszaniem przyczynków i materiałów pamiętnikarskich z lat II wojny światowej), list, którego celem było „sprostowanie”, a właściwie gruntowne skorygowanie rażących falsyfikacji i uchybień, jakich w przedmiocie prawdy faktycznej

dopuścił się niejaki prof. W. Janota, autor publikacji pt. *Kartka z dziejów walki*, to druga część *Nierzeczywistości* napisana została w konwencji diametralnie innej; przybrała mianowicie formę sondażu bądź testu psychosocjologicznego, formę zarejestrowanych na taśmie magnetofonowej odpowiedzi na szereg pytań z kwestionariusza ankiety. Równocześnie ze zmianą adresata relacji – przypomnijmy, że jest nim w drugim wypadku naukowiec amerykański polskiego pochodzenia, na wpół anonimowy „ankieter”, skupiający w sobie cechy reprezentanta odbarwionej ideologicznie i wypranej z emocji, neutralnej, ponadnarodowej wiedzy – uległa też zasadniczej zmianie, jeśli o wyposażenie duchowe chodzi, postać narratora-nadawcy. Co oznaczają wszystkie te odmiany?

Myślę, że odzwierciedliła się w nich, więcej, że znalazła tutaj swój programowo wyostrzony kształt i wyraz naczelną właściwość prozy Brandysa. Można by ją określić mianem tendencji synkretystycznej. Pisarstwo to znamionowała bowiem od początku wielotorowość warsztatu twórczego, brak stabilizacji w zakresie gatunku i formy, wewnętrzna potrzeba alternatywności i przemienności ujęć stylistycznych, kompozycyjnych, czy może raczej przeświadczenie o ambiwalentności funkcjonalnej poetyk literackich, i wynikający stąd właśnie amorficzny – bądź polimorficzny – modelunek prozy. Kiedy spojrzeć na całokształt twórczości Kazimierza Brandysa, to okaże się, że naruszała ona prawie zawsze i w każdym momencie zastane systemy klasyfikacji gatunkowej, że jej ideą przewodnią i konstytutywną była idea wielości, służącej jako przekaz świadomości niespokojnej, zmiennej i wzburzonej.

Czyż nie miał charakteru sprzecznej podwójności tuz powojenny, „dwuskrzydłowy” debiut prozatorski Brandysa? Debiut złożony z dwóch książek niemal jednocześnie wydanych, a tak niepodobnych do siebie, że nasuwał się domysł o dwóch przeciwlegle usytuowanych warsztatach pisarskich, jeśli nie o dwóch różnych autorach. *Drewniany koń* i *Miasto pokonane* były znamienym precedensem. Były właściwie jedną? i tą samą książką, lecz „rozdwojoną w sobie”; książką powtórzoną w dwu tonacjach, w dwu wyłączających się postaciach stylistycznych, w dwu odległych rejestrach literacko-ideowych; książką, która nie wytrzymała różnorodnych ciśnień odśrodkowych, nie sprostała dezintegrującym siłom, zarówno wewnętrznym, jak i zewnętrznym (skomplikowane okoliczności polityczne, nowe postulaty rynku wydawniczego), i rozpadła się w końcu na dwa odrębne tytuły i osobno żyjące tomy. Dwutekstowa *Nierzeczywistość* (mówię ciągle o jej wersji maszynopisowej) wynalazkiem swej formy łączyła to, co w rzeczywistości polskiej kultury duchowej i w dorobku współczesnych pisarzy – rozdzielone i pokruszone; z przeciwstawności i różnicy, z oddalenia i niepodobieństwa stwarzała na nowo symboliczną całość. Symboliczną jedność wieloksięgu.

*

Dwoista poetyka *Nierzeczywistości* imitowała w udany sposób podwójny nurt stylistyczny Brandysowskiego pisarstwa, łączącego ogień z wodą, sztukę retoryki powieściowej z dokumentaryzmem, potrzebę autodemaskatorskich wyznań i „obnażeń” z równoległą potrzebą dyscyplinujących (i zarazem krępujących, nieraz hamujących)

konwencji i przebrań fabularnych, a w wymiarze filozoficznym – zespalającego „staroświecki” racjonalizm ładu myślowego z „romantycznym” wątpieniem w sens i porządek świata.

Wszakże za to rozszczepienie i, następnie, synkretyczne pomieszenie form i stylów odpowiedzialna była nie tyle literatura jako taka, ile sama rzeczywistość z jej nieustannym potokiem zmian i przekształceń, z jej „tajemniczymi potencjami”, z jej niejednolitością i przerwanyimi liniami kompozycyjnymi. Rzeczywistość psychiczna człowieka i rzeczywistość historyczna zbiorowości ludzkich – zawsze nieukończona i „otwarta”. W filozofii pisarstwa, jaką Brandys formułował i z jaką eksperymentował w *Listach do pani Z.*, w *Dżokerze* i *Rynku*, inspiracją i podstawą współczesnej literatury nie mogła już być „świadomość osiadła”, owa tęsknota za utraconą równowagą form, ale dotrzymywanie kroku skandalicznie niestałej rzeczywistości, polemiczne z nią zwarcie, nieustająca dyskusja. „Nie ma jednej myśli o tym, co nigdy nie jest jednym” (*Rynek*, 1968, s.72). „Możliwości są nieskończone, do świata można przemawiać różnymi głosami, od sentymentalnych po szydercze. (...) Wszystko przebiega w sprzecznych kierunkach: zdobywca cywilizacja o samobójczych skłonnościach – tragiczność, która nazajutrz staje się groteską – rozwój spełniający się poprzez zniszczenie. Zapewne mam powody, aby być optymistą, ale mam również powody do szaleństwa, i muszę to wyrazićprzecząc sam sobie, bo nie chcę, żeby przeczyła mi historia. Gdybym się okazał mniej niekonsekwentny niż wiek, w którym żyłem, znaczyłoby to, że mieliśmy ze sobą niewiele wspólnego. Muszę się przylepiać w różnych miejscach, używać zmiennych perswazji, żeby się nie stać bardziej spokojny i cały niż nasza epoka” (*Dżoker*, 1966, s. 38-39). W doskonałej zgodzie z przytoczonym rozumowaniem została zbudowana *Nierzeczywistość*.

Obydwie składające się na nią wypowiedzi – „staroświecko” listowna i „nowocześnie” magnetofonowa – posiadały jedną cechę niewątpliwie wspólną: odznaczały się mianowicie mniej lub bardziej polemicznym nastawieniem wobec adresata; nosiły znamiona rozmowy, czyli mówienia do kogoś, mówienia wewnątrznie rozszczepionego, dialogowego, a nawet skłóconego, rozwijały się, każda z osobna, jako spór i dyskusja właśnie.

Ideą przewodnią i konstytutywną twórczości Brandysa była idea wieloksięgu, służącego jako przekaz świadomości niespokojnej, zmiennej i wzburzonej.

Formalnie partnerami powieściowego sporu były fikcyjne postacie utytułowanych przedstawicieli nauki. (Czyżby symbole autorytetów?).

Pierwszy z dwóch profesorów – krajowiec Janota – reprezentował, bodajże gałąź wiedzy historycznej, wszelako w specyficznym, „zaktualizowanym”, nonszalancko obchodzącym się z realiami, czyli w gruncie rzeczy nieobiektywnym, antynaukowym wydaniu. Specjalnością drugiego – zamerykanizowanego emigranta i obywatela świata – była, przeciwnie, psychosocjologia, a więc dyscyplina już w samych założeniach „bezpieczniejsza” i „czystsza”, nie uwikłana aż tak mocno w lokalne mitologie albo ideologiczne kontredanse z duchem czasu, posługująca się uniwersalnym z natury pojęciem i kryterium prawdy. Otóż z tymi to dwoma odmianami Wielkiego Uproszczenia – w pierwszym wypadku uproszczenia przez wulgarnie pragmatyczną interpretację materiału empirycznego, w

drugim przez podporządkowanie tegoż materiału abstrakcyjnemu schematowi „średniej statystycznej” – narratorzy i równocześnie główni bohaterowie *Nierzeczywistości* konfrontowali swoje nietypowe i konkretne Istnienia Poszczególne. Temu, co zbyt ogólnie ujęte (lub też beztrąsko ogólnikowe), wiedzy akademicko oderwanej (bądź pseudowiedzy maskującej stronnictwą ideologię), prawidłowościom i normom postulowanym przez czysty rozum (bądź werbalnej żonglerce uprawianej przez „rozum dialektyczny” i „zaangażowany”) – przeciwstawiali oni swoje jednostkowe, niepowtarzalnie przeżyte i często dziwnie zawikłane egzystencje; umownie bezgrzesznej rzeczywistości słów i nalepek – czyli nierzeczywistości – przeciwstawiali nierozum i szaleństwo; zagnieżdżone w realnym doświadczeniu i przebiegu ich ludzkich losów; jednolicie zorganizowanym systemom myśli, czy to naukowej, czy ideologicznej – przeciwstawiali rozdarcia i odchylenia wstrząśniętych i niespójnych świadomości; złudzeniom o absolutnych wartościach i esencjach – przeciwstawiali tragiczne (i zarazem groteskowe) nauki życia.

I tak narrator pierwszej części *Nierzeczywistości* sprzeciwiał się dziejopisarstwu mitologicznemu w dziedzinie historii niedawnej i najnowszej, zwłaszcza okupacyjnej, owym najpopularniejszym i naiwnie albo cynicznie nadużywanym konwencjom heroistyczno-konspiracyjnym, pokazując za posagowym obliczem historii – ambiwalentną psychologię, chwilami nawet psychopatologię uczuć, a za gładkim falsyfikatem literackim, osnutym na kanwie tejże historii – dramat egzystencjalnych powikłań, łańcuch sprzeczności, nieporozumień, zaskakujących motywacji i nieoczekiwanych działań. Narrator drugiej części natomiast obnażał słabości socjologiczno-statystycznego modelu człowieka i człowieczeństwa: z upodobaniem wydobywał więc na jaw wszelkiego

rodzaju odrębności i dwuznaczności, dotyczące się zarówno charakteru i przebiegu polskich dziejów zbiorowych, jak i ukształtowanych przez te dzieje postaw mentalnych.

*

Prawdziwym, chociaż nie nazwanym z imienia, partnerem sporu prowadzonego przez Brandysa w *Nierzeczywistości*, była osobowość duchowa narodu i wyrażające ją formy świadomości polityczno-społecznej i kulturalnej. Z jednej strony megalomańska świadomość nacjocentryczna, „zakorzeniona w polskości”, w istocie zniewolona, wessana przez swe kompleksy i fiksacje wyższościowe, izolująca się od tematów powszechnych. Z drugiej strony zaś, odrywająca się ambitnie od partykularza i abstrahująca od jego szczególnych przypadłości w imię tego, co racjonalne i ogólnoludzkie, świadomość typu zachodnioeuropejskiego. Czyli sarmatyzm *versus* okcydentalizm. Lecz Brandys nie wybierał między nimi. W podwójnym uchwycie polemicznym książką Brandysa broniła innej prawdy. Pełniejszej i szerszej. Broniła wspólnoty uniwersaliów przeciw neosarmackiej komedii pozorów, reżyserowanej przez aparat władzy szukający tu patriotycznego alibi. Jednocześnie broniła autentyzmu narodowych losów, zygzakowatych dróg postępu dziejowego, ewolucji i emancypacji dokonującej się w Polsce częstokroć „w jakimś piekielnym splocie” (jak po zdławionym Powstaniu Styczniowym, jak w państwie niepodległym, kierowanym improwizującą ręką Piłsudskiego, jak wreszcie po roku 1945, kiedy to: „Jedni w zmienionej Polsce widzieli obcą aneksję i gwałt polityczny. Drudzy – krajowy program reform, zrównanie społeczne”). Przeciwwstawiała się w tej samej mierze ahistorycznemu moralizmowi o zabarwieniu konserwatywnym, skłonemu dziś osądzać jednoznacznie to, co wczoraj nie miało bynajmniej jednego tylko oblicza, jak i umiała

zdystansować się od gorączki i niecierpliwości neorewolucjonistycznej młodzieży Zachodu. W meandrach i fluktuacjach zdarzeń i nastrojów – a także wbrew maskaradom ideologicznym z prawa i z lewa – szukała twarzy Polski rzeczywistej. Polski nie zubożonej o żaden z jej współcześnie charakterystycznych rysów. I odnajdywała – złożoność.

Wie pan, żyję w oryginalnym kraju. W którym tysiące ludzi ma samochody, w którym dziesiątki tysięcy odkłada na samochód i miliony marzą o samochodzie. W którym ci sami ludzie stoją w długich kolejkach po mięso. W którym spędza się noc przed kasą festiwalu teatralnego w ogonku po bilety i w którym pijane wycieczki dowozi się na miejsca straceń. W dziwnym kraju. Ten kraj nigdy nie zapomina o swojej przeszłości, ale najczęściej jej nie rozumie.

W tym okresie (chodzi o rok 1956, przyp. T.B.) gromadnie obalano światopoglądy swoje i cudze, często odcinano się również od własnych życiorysów. Dokonywało się to publicznie, na oczach zemocjonowanej widowni, w atmosferze falującej między krasomowczą swadą a moralnym uniesieniem, gdy mieszają się i współgrają ze sobą najróżniejsze intencje i rachuby. Ale główny, zasadniczy motyw płynął z głębi, z wnętrza narodu, to było jasne dla wszystkich. Szkoda, że nie wybrał się pan w tych dniach do Polski, zobaczyłby pan ciekawy kraj, w którym miasta wydawały się zdobyte przez młodzież, a z fabryk wywożono dygnitarzy na taczkach. Prasa zmartwychwstawała, zaroiło się od studenckich kabaretów i klubów, uwalniano więźniów politycznych. Dawnych ideologów tłum przepłasał z trybun jak kury, na wiecach przemawiali robotnicy i artyści. O tych latach, a to byty niecałe dwa lata, mówi się dziś: Październik. W trzecim roku zaczęto

rozwiązywać kluby i wyciszać prasę, w czwartym było już po wszystkim, pękł, zapadło się – było po wszystkim i było wiadomo, że z tego nie będzie wolności.

(...) uświadamiając sobie moje nienadążanie za myślą dzisiejszego Zachodu i przeciążenie mózgu polskimi kompleksami, uświadamiam sobie również przyczynę tego stanu rzeczy. Żyję w kraju, który od dwustu lat jest skazany na odruchy samoobronne, w narodzie, który przetrwał dzięki modlitwom, dzięki tajnym uniwersytetom i przemycanym książkom i który w okresie, gdy krystalizowały się charaktery społeczeństw zachodnich, miał jedyny cel: przetrwanie.

*

O nowej książce Kazimierza Brandysa mówiłem konsekwentnie w czasie przeszłym lub przeszłym niedokonanym. W samej bowiem rzeczy była ona – jej forma – pewną propozycją kształtu, propozycją, która ostatecznie została wycofana i zastąpiona odmiennym rozwiązaniem: w miejsce jednej książki pojawiły się dwie osobne *Nierzeczywistości*. Pierwszą publikowała „Twórczość” (w numerach grudniowym z 1975 i styczniowym z 1976 roku). Druga ukazała się w 1978 r. nakładem paryskiego Instytutu Literackiego jako 285 tom Biblioteki „Kultury” i w parę miesięcy później – w wydaniu krajowym, firmowanym przez Niezależną Oficynę Wydawniczą.

Stało się. Hipotetyczna całość pękła, kształt symbolicznych powiązań pomiędzy wieloma różnymi płaszczyznami świadomości uległ (tymczasowemu?) zniweczeniu. Wniosek końcowy sam się naprasza: *Nierzeczywistość* to obok *Miazgi* Andrzejewskiego drugie wielkie dzieło nie istniejące polskiej literatury współczesnej.

1978

Fragment pochodzi z książki: T. Burek, *Żadnych marzeń*, Londyn 1987.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego